



JÓZEF MAKOWIECKI

Warszawa, 5 grudnia 1947 r. Członek Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie, sędzia Halina Wereńko, przesłuchiwała niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi. Upředzony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Józef Makowiecki
Imiona rodziców	Grzegorz i Katarzyna z Dejów
Data urodzenia	3 kwietnia 1910 r., Trzebień, pow. Kozienice
Wyznanie	rzymskokatolickie
Miejsce zamieszkania	Włochy, ul. Krasińskiego 2
Przynależność państwowa i narodowość	polska
Wykształcenie	szkoła powszechna
Zawód	szewc

Wybuch powstania warszawskiego zastał mnie w moim sklepie przy ulicy Świętojańskiej 25 w Warszawie. 1 września 1944 roku rano wkroczyły na teren naszej ulicy oddziały Niemców i Ukraińców w mundurach SS, wyprowadzając ludność cywilną z domów 19, 21, 23, 25 i 27. Znalazłem się w grupie około stu osób. Mężczyzn i kobiety ustawiono osobno. Doprowadzono nas na tyły Zamku Królewskiego i zatrzymano przy stajni. Z grupy mężczyzn wybrano kilkunastu do rozbierania barykad, pozostało w grupie około 40. Kilku mężczyzn z ludności cywilnej przyniosło na materacu ranną kobietę (której nazwiska nie znam) z domu przy ulicy Brzozowej 1 i – o ile dobrze pamiętam – Niemcy zażądali do pomocy w niesieniu rannych dwu mężczyzn z naszej grupy. Pozostawiłem w grupie kobiet nieletnie dzieci i stanąłem przy noszach. Za stajnię Niemcy zabrali pięciu

mężczyzn. Podłuższej chwili usłyszałem głuchoe krzyki i strzały. Widziałem, jak poszły jeszcze trzy piątki mężczyzn, po czym padł rozkaz, by wszyscy mężczyźni, razem z grupą niosącą ranną na noszach, udali się za stajnię. Tam opuściliśmy nosze na ziemię, widząc, iż idą przed nami piątki, schodzą schodami nad Wisłę, skąd dochodziły rozpaczliwe krzyki i strzały. Brzegu Wisły nie było widać, jednakże zorientowałem się, iż odbywa się tam egzekucja. Za stajnią żołnierze niemieccy przeprowadzili u mnie i u innych rewizję osobistą, odebrane papiery rzucali na stos leżących dokumentów i nawet drobnych kartek papieru. Chcąc uniknąć śmierci, energicznie wytłumaczyłem SS-manowi, który przeprowadzał rewizję, iż ja i pięciu mężczyzn niosących nosze na rozkaz oficera stacjonującego na Zamku mamy zgłosić się do pracy. Następnie, pozostawiwszy ranną, ja i pięciu mężczyzn odmaszerowaliśmy w kierunku Zamku. Z grupy około 40 mężczyzn wyprowadzonych nad Wisłę i ranna kobieta, jak słyszałem, dotychczas nie odnaleźli się. Prawie wszystkich z tej grupy znałem z widzenia, częściowo z nazwisk, ponieważ mieszkali na Starym Mieście. Razem z grupą pięciu mężczyzn koło Zamku przyłączyłem się do ludności cywilnej wyprowadzonej z ulicy Świętojańskiej 29, 31 i dalszych. W grupie tej mężczyźni i kobiety szli razem. Doszliśmy pod stajnię, a stąd skierowano nas na ulicę Mariensztat przez plac pod Pałac Brühla. Tu jeden z SS-manów mówiących po polsku wybrał mnie w grupie około 12 osób. Wybierał częściowo na oko osoby, które miały na sobie coś z umundurowania armii niemieckiej. Mnie wywołał, zarzucając przynależność do AL, pytając o służbę w PW. Pytał też o dzieci (zaznaczam, iż żona moja była Żydówką). Pozostałą grupę odprowadzono, jak się później dowiedziałem, do kościoła św. Wojciecha na Wolskiej. Nas zatrzymano pod eskortą.

Wieczorem mnie i studenta Jankowskiego zabrano do zdejmowania trupów żołnierzy i oficerów niemieckich z samochodu na terenie komendantury. Pozostałych odprowadzono w stronę Ogrodu Saskiego. Po ukończeniu roboty dwóch SS-manów odwiozło [nas] motocyklami do Ogrodu Saskiego, gdzie się zatrzymali. Jeden z SS-manów udał się w kierunku oranżerii, po chwili wrócił i mówił [coś] po niemiecku towarzyszowi. Jankowski (znający niemiecki) powiedział mi po cichu, iż grupa, z której nas wyłączono, została rozstrzelana. SS-mani, mając broń gotową do strzału, kazali nam wysiąść i iść pod mur. Rzuciłem się do ucieczki. Widziałem, jak Jankowski upadł, za mną strzelano. Wyostałem się na ulicę Alberta, następnie do Galerii Luksemburga, do dużej piwnicy pełnej wody, gdzie pływały zwłoki kilku mężczyzn ubranych po cywilnemu. Spotkałem tam Jana Pączkowskiego i trzech mężczyzn, razem przeszliśmy do kościoła świętego Antoniego.



Przebywając w Galerii Luksemburga wieczorem i nocą słyszałem po kilka salw z broni automatycznej i przeraźliwe krzyki od strony Ogrodu Saskiego. Raz rozróżniłem krzyki kobiety.

W kościele świętego Antoniego ukrywałem się do 1 grudnia 1944 roku.

Na tym protokół zakończono i odczytano.